

665

TEATR



„GLOB”

SPÓŁDZIELNIA PRAC

04-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53
tel. 13 42 34

tel./fax 13 44 95

T E A T R

03-902 WARSZAWA

ul. Jakubowska 14

Nr **10** z dn **10 - 97**

ŁAPKA NA SZARE MYSZY

Paweł Głowacki

Teatr Rozrywki w Chorzowie: CZŁOWIEK Z LA MANCHY Mitcha Leigh i Dale'a Wassermana. Reżyseria: Józef Opalski, scenografia: Marek Braun. Premiera 15 III 1997.

Zachodzi takie oto pytanie: czy Józef Opalski jest, czy nie jest idiotą?

O Piwnicy pod Baranami, której los na zawsze odebrał kruchy jej kręgosłup w kapeluszu z piórkami, ktoś kiedyś mądrze powiedział, że to jedyny w świecie lokal, który ma wejście, ale nie ma wyjścia. Tym, którzy bywali i lubią wiadomo co, w czym rzecz - tłumaczyć nie muszę. Całej reszcie - chyba nie warto. Zwyczajnie, z realną gorzałą w garści zasiadał człowiek na widowni tego dziwaczno, podziemnego, nocnego wehikułu, by słuchać sceny, by smakować tamtą stronę, z której sączyła się gorzała innego rodzaju. Ta trująca mieszanina oddawała widza rzeczywistości gdzieś nad ranem. I tylko kwestią wrażliwości było, kto na jak długo - pozornie będąc już gdzie indziej - w istocie był wciąż tam. Dwa dni, cztery, może tydzień. Są tacy, którzy z Piwnicy nie wyszli nigdy.

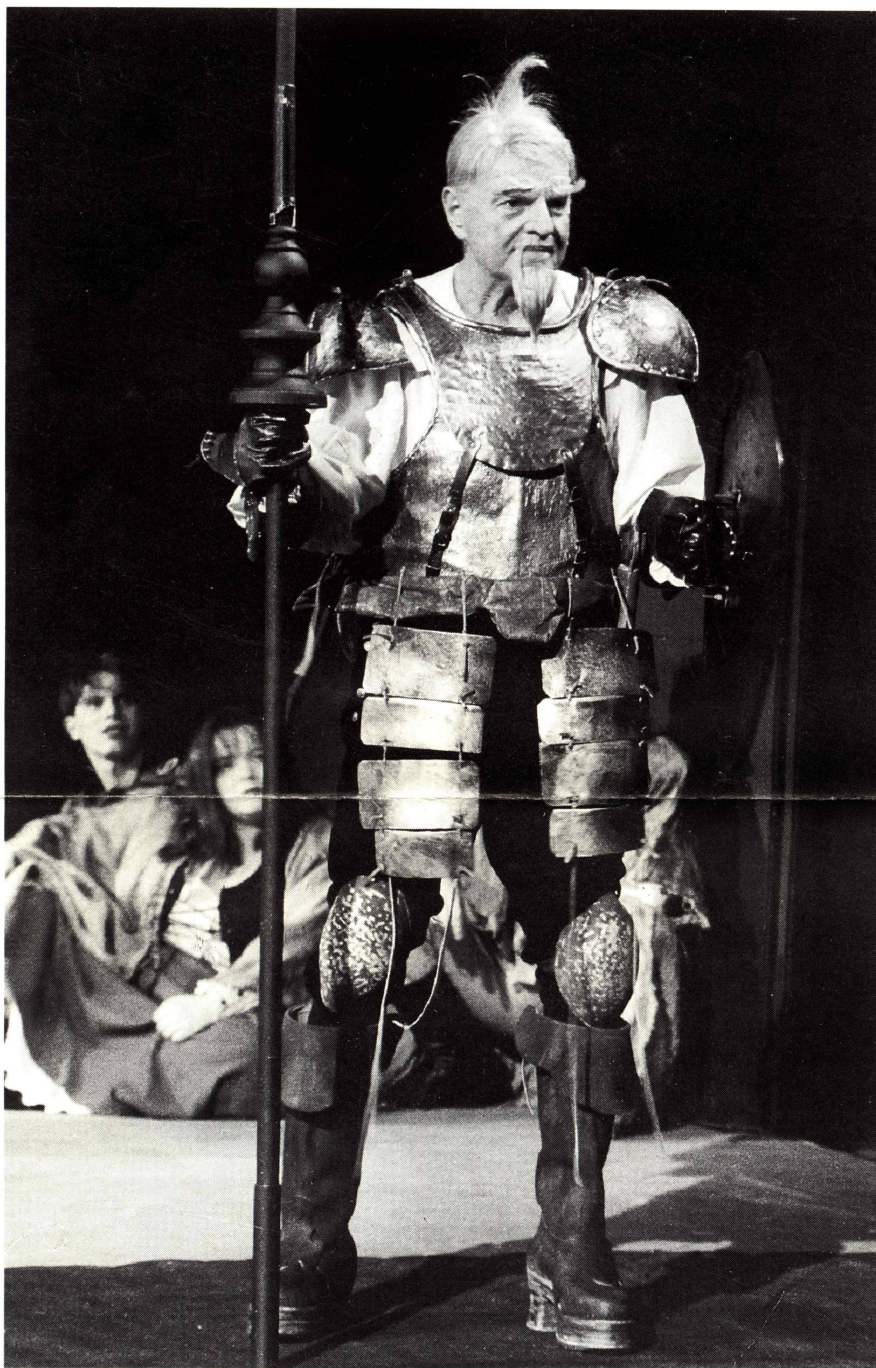
Mniej więcej podobnie wychodzi się z *Człowieka z La Manchy* Józefa Opalskiego. Mówię o najogólniejszym smaku, który pozostaje, o jakimś zasadniczym, porządkującym wszystko akordzie. Wchodzimy, ale trudno wyjść. Trucizny nie popuszczają. Wyjście okazuje się kwestią twojej prywatnej wrażliwości. Dość to może kuriozalne w czasach z wolną podnoszącego głowę pospolitego ruszenia teatralnej publicystyki, ale jest tak, że Opalski funduje spektakl żerujący na najprostszych uczuciach. I nie chce zbawiać świata. Idiota?

Widzowie wchodzą w spektakl, który jest opowieścią o innym wchodzeniu. Innych widzów w inny spektakl. Słowem - stary numer. Teatr w teatrze, sławetna pułapka na myszy, tyle tylko, że w tym wypadku rozciągnięta na cały spektakl. Oto do monstrualnych kazamatów Świętej Inkwizycji wprowadzono - jak sam o sobie powiada - poetę teatru, Miguela de Cervantesa. Poeta taszczy ze sobą wózek, pełen biednych teatralnych rekwizytów, oraz wiernego Służącego. Rozłożone wszędzie, powoli gnijące typy spod ciemnej gwiazdy - niewiasty trzeciej świeżości i dżentelmeni po kolosalnych przejściach - podnoszą głowy. Zwierzęca ciekawość. Wszedł dziwny facet. Ma nienaturalnie szlachetny gest i mówi jakoś tak odświętnie. Do nory wsunęła się delikatność. Tego się nie wybacza. Nora jest

ogromna, mroczna, zamknięta z każdej strony. Stąd nie ma wyjścia. Spektakl Opalskiego grany jest bez przerwy. Z niego też nie ma wyjścia. Więc jeśli dla mieszkańców lochu jedynym wyjściem, które nie jest żadnym wyjściem, jest czekający za drzwiami proces Inkwizycji - to po co z punktu niszczyć dziwnego gościa? Pobawią się z nim trochę, jak kot z myszą. Kwadratowi ludzie poigrają z delikatnością, z nudów zafundują jej wymaginowany proces. Będzie oskarżyciel, będzie ława przysięgłych i sędzia. A ona niechaj się broni tym, co ma najlepszego. Cervantes wchodzi w grę. Wchodzi, bo nie ma wyjścia. Ma wózek, wypełniony potencjalnym teatrem, służącego i coś jeszcze. Pod pachą trzyma rękopis dziwnej historii, nie ukończoną opowieść o Don Kichocie, którego śmiertelnie ukąsiła poezja, o owym błędnym rycerzu, niegroźnym kretynie, któremu wszystko się pokiełbało. Kompletnie. Realność mieszała mu się z iluzją, bajka - z prawdą.

Cervantes tym właśnie będzie się bronił. Przed rezydentami lochu - i z ich udziałem - odegra skróconą wersję swej opowieści o poezji, która niczego nie mogąc zmienić, może trochę wygiąć kogoś pojedynczego, czyli - może wszystko. Z byle czego, z tego co pod ręką, skleci więzienny teatr, spektakl wsparty na skokach wyobraźni, dziełko igrające uczuciami. Końmi będą dwie siedzące okrajkami na beczkach kobiety, z włosami zarzuconymi na twarze. Karczma okażą się zwykłe dechy i parę krzesel. Byle kto będzie mulnikiem, ktoś równie obojętny - maurem. Ludzkie strzępy co i raz wskakiwać będą w rolę i z nich wyskakiwać. Wedle potrzeby. Wystarczy tylko wyciągnąć drobiazg z pełnego rekwizytów wózka Cervantesa. On sam przylepi sobie brwi, wąsy i brodę, wdzienie biedny kawałek zbroi. Stanie się błędnym rycerzem. Służący, za sprawą banalnej czapeczki, zmieni się w Sancho Panśę, a zwykła dziewczka Aldonza, za pstryknięciem palców - w dziewczkę karczemną, w której Don Kichot zobaczy Dulcyneę. Poezja klecona z byle czego. Jak w Piwnicy. W Teatrze Osobnym Białoszewskiego. Albo u Leśmiana. W *Żołnierzu* choćby. "To dwa boże kulawce, dwa rzewne cudaki/ Kuleją byle jako w świat nie byle jaki (...) Skakali jako trzeba i jako nie trzeba/ Aż wreszcie doskoczyli do samego nieba!"

Dokładnie. Bo za sprawą teatru Cervantesa w lochu dzieje się tak właśnie. Ludzkie strzępy wchodzą w świat nie byle jaki. Dopiero na końcu, w scenie śmierci Don Kichota, uświadomią sobie, że rolę się zmieniły. Że kot stał się myszą, a mysz-



Stanisław Ptak (Cervantes)

kotem. I że wpadli w ten seans jak śliwki w kompot. Są kompletnie inni. Dziwaczny przybysz pokazał im - byle jakim - ich samych, ale zgoła innych. Zdolnych do uczuć bynajmniej nie więziennych, podatnych na wzruszenie, nie wstydzących się mocno ściśniętych gardel. Nie przestając być lochem, loch wskoczył w inny wymiar. Pozornie nic się nie zmieniło. Wyjścia nie ma i nie będzie. Ściany są nieprzeniknione. Ale pomiędzy nimi tkwią

już zupełnie inni ludzie. Po ostatecznym odejściu błędnego rycerza Aldonza powiada o sobie - Dulcynea. I tak nie mając wyjścia, gdy przedstawienie się skończyło, wybiera wyjście-nie-wyjście przez szczelinę iluzji. Po to właśnie Cervantes bawił więzienie teatrem. I dokładnie dlatego Opalski sklecił przy okazji swój spektakl.

Sklecił? Opalski nigdy niczego nie kleci. Zbyt starym teatralnym lisem jest, by nie wiedzieć, że przedstawień nie należy lepić z ciepłego metafizycznego sosu. Robi więc spektakl na zimno. Konstruuje teren, na którym wrażliwość widza może sobie poswawolić. Albo inaczej jeszcze - odkryć samą siebie. Ma ucho zbyt wysokie i nazbyt bezwzględny smak, by nie wyczytać z oryginału muzyczno-literackiego Mitcha Leigh i Dale'a Wassermana historii odzyskiwania utraczonej czystości. I o tym jest spektakl. To samo ucho i ten sam smak pozwalają mu obsadzić rzecz całą niezwykle smacznie. W fantastycznej, niezniszczalnej chyba operetkowości Stanisława Ptaka (Cervantes) odnajduje akurat tyle ciepła, łagodności i spokojnego dystansu do świata, ile trzeba. W znakomitej Marii Meyer dostrzegł możliwość łagodnego przejścia od ostrej jak brzytwa Aldonzy do cichego zdziwienia Dulcyniei. W Jacentym Jędrusiku zaś Sancho Panse, który jest jedną wielką, głęboką przyjaźnią, a nie wioskowym, od gagu do gagu kuśtykającym kretyńcem. Ucho i smak, z tak zwanego ludzkiego tła, z wszystkich tych obdartych nieszczęść, konstruowały coś jakby ciągle pulsowanie na krawędzi rzeczywistości i iluzji. W końcu songi... Nie, pisanie o songach u Opalskiego daruję sobie. Nie będę się wygłupiał.

Jeszcze tylko uściskę dłoń scenografowi Markowi Braunowi - za dyskretny i czysty smak wszystkiego, co widać, i odpowiem na pytanie. Opalski. Idiota czy nie idiota? "Chodziło mi o to - powiedział przed premierą - żeby ludzie popłakali i żeby poczuli się dobrze." No cóż - idiota. Jakis teatralny Książę Myszkina, którego jedyną ambicją była łza. Czyli Idiota przez duże I. Co było do udowodnienia.